



DZIEWIĘTNAŚCIE

Klaudia Leszczyńska

TOM 1

KLAUDIA LESZCZYŃSKA

DZIEWIĘTNAŚCIE

TOM PIERWSZY

KONIN 2021

Książka, którą trzymasz w dłoniach, jest moim osobistym dziełem.

Możesz ją udostępniać osobom bliskim, ale nie publikuj jej w Internecie! Jeśli zechcesz zacytować jej fragment, nie zmieniaj jego treści i koniecznie zaznacz autora.

Dziękuję Ci za poszanowanie prawa i mojej własności.

Milej lektury!

Postacie w tej powieści są fikcyjne, jakiegokolwiek podobieństwo do osób fizycznych – żyjących lub zmarłych – jest przypadkowe.

Okładka: zdjęcia i projekt własny

Copyright © Klaudia Leszczyńska. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pdf: 978-83-959901-1-3

ISBN epub: 978-83-959901-2-0

ISBNmobi: 978-83-959901-3-7

Publikacja elektroniczna

„Czułam, że łamię jakieś zasady, smakuję zakazanego owocu, ale prawdę mówiąc... nie dbałam teraz o to. Uległam tej fascynacji, wystarczyła sekunda, żebym przekroczyła tę cieką granicę... Czy to było szaleństwo, czy właśnie ucieczka, którą rozważałam? Nie potrafiłam tego określić. Za to czułam, że mój świat zawirował i jest jeszcze bardziej pokręcony, niż wcześniej...”

PROLOG

Lód trzeszczał i pękał pod moimi stopami, tworząc malownicze zygzaki. Woda pod nim była ciemna i brudna, w tym miejscu głęboka na trzy metry. Nie umiałam pływać, nie zdążył mnie tego nauczyć. Chłód przesywał każdą komórkę mojego ciała. Jeżeli zostaną tu jeszcze kilka chwil, to upadnę do lodowej otchłani. Nie będę w stanie uciec. Nie będę mogła złapać oddechu, a moje płuca zaleją zimno tak obezwładniająco, że nie będzie już odwrotu. Pragnęłam tylko jednego.

Żeby umrzeć.

Zostałam zupełnie sama, a on był jedyną osobą, która mnie kochała. Odszedł, a wraz z nim umarło wszystko, co trzymało mnie przy życiu.

Nie mam już nic. Nie mam do czego wracać.

I nikt już za mną nie czeka... On już za mną nie czeka.

Robię krok do przodu.

A przed sobą mam tylko ciemność i chłód.

1

Za oknem było ciemno i dżdżysto. Deszcz stukał cicho w lodowatą szybę o którą opierałam policzek. Próbowałam się zdrzemnąć. Raz po raz sen porywał mnie na kilka minut, a za chwilę budziłam się złąkniona, jakby ktoś wrzasnął mi w ucho.

Tym razem śnił mi się Anioł. Ogromna, skrzydlata postać ukryta w mroku, ubrana w złotą zbroję. Blask jego śnieżnobiałych skrzydeł próbował rozgonić wszechobecną ciemność, jednak tlił się niewyraźnie, niczym dogasająca świeca. Mój Anioł gasł. Czulałam, że wpatruję się we mnie posepnie, mimo że nie widziałam jego twarzy.

Kiedy miałam trzy latka babcia opowiadała mi o Aniołach. Niebiańskich, skrzydlatych istotach, będących strażnikami Nieba. Zapewniała mnie, że każdy człowiek ma swojego Anioła Stróża. Byłam podekscytowana faktem, że mam swojego własnego obrońcę, który w dzień i w nocy mnie chroni i sprawia, że nie dzieje mi się żadna, nawet najmniejsza krzywda. Czasami gwałtownie obracałam się za siebie, żeby móc go zobaczyć, ale nigdy go nie było. Sądziłam, że się przede mną chowa, ale babcia wyjaśniła mi, że Anioły są niewidzialne, albo ukazują się bardzo rzadko. Mimo licznych siniaków na ciele i jednego wybitego zęba mlecznego, ucpepiłam się myśli, że to nie była tylko słodka historyjka dla małych dzieci. Tak bardzo pragnęłam wierzyć w to, że istnieje ktoś, kto mnie chroni.

Babcia mówiła także, że każdy z nas rodzi się, znając już cały przebieg swojego życia. Wie, kiedy i czy kiedykolwiek ukończy

szkole, na co będzie chorował, ile zawodów miłosnych przeżyje, czy zwiąże się z kimś na stałe, ile będzie miał dzieci, jaką pracę podejmie, i w końcu – kiedy umrze. Ma swoje życie wyciągnięte jak na dłoni, zna każdy jego szczegół, nawet najdrobniejsze potknięcie. Trochę przerażające, prawda? Ale zanim mały człowieczek pojawia się na świecie, zjawia się jego Anioł Stróż, który kładzie mu palec na ustach i mówi: „*Ciii, zapomnij...*”. I dziecko zapomina, staje się czystą kartą, którą dopiero będzie zapisywał los.

Ten sam Anioł zabrał moją ukochaną babcię do nieba rok później. Zabrał jedną z nielicznych osób, która tak naprawdę mnie kochała. I chroniła. Bo przecież on nigdy mnie nie chronił. Był tylko wymyślonym stworzeniem, postacią z bajki, tandetą z obrazków. Za późno to zrozumiałam. A może zbyt wiele od siebie wymagałam? Miałam wówczas tylko cztery latka.

Westchnęłam i przycisnęłam szalik do twarzy. Anioły nie istniały. Gdyby mój istniał, nie dawałby mi tak w kość. Doświadczałby mnie stopniowo, a nie rzucał od razu na głęboką wodę. Chyba, że byłby mściwy i zły. Posępny i milczący, taki jak ten z mojego snu.

Miałam ochotę parsknąć ironicznym śmiechem. Mimo, że miałam siedemnaście lat, nadal posiadałam w sobie naiwność małego dziecka. Po cichu wierzyłam w bzdurne bajeczki, które opowiadała mi kiedyś babcia. Uciekałam do wspomnień z tamtego okresu przepełnionych jej spokojnym głosem i ciepłym ramion mojego ojca.

Tato...

Zatrzęsła mi się broda. Każda myśl o ojcu była taka sama. Przepelniona bólem i żalem.

Minęło już pięć lat odkąd mnie zostawił. Pięć obrzydliwie długich lat. Tak strasznie za nim tęskniłam, że to uczucie przepelniało mnie na wskroś i sprawiało, że z bólu nie mogłam oddychać. Wystarczyła chwila skupienia, a byłam w stanie przywołać jego głos w pamięci - niski, dźwięczny, z lekką chrypką. Pod powiekami widziałam jego uśmiech i wzrok wypelniony miłością.

Ojciec był zawsze troskliwy i cierpliwy w stosunku do mnie, był moim przyjacielem i namacalnym Aniołem Stróżem, nie żadnym podrabianym z tandetnego obrazka. Chronił mnie i opiekował się mną, przy nim zawsze czułam się bezpieczna i kochana. Dlaczego to przysło, tak z dnia na dzień się skończyło, zostało mi brutalnie odebrane? Jak on mógł odejść i mnie zostawić?

Mógł. I zrobił to bez żadnego zająknięcia się. Wyjechał za granicę do pracy i tam znalazł sobie kobietę, z którą miał nowe, ważniejsze i lepsze dziecko, i nie kontaktował się ze mną.

Od tych pięciu lat nigdy nie poczułam, żebym była dla kogoś ważna. Czułam się tak tylko wtedy, kiedy tata był obok mnie.

Ale go już nie ma, jest daleko, przestał istnieć, rozplynał się w nicości. Zniknął. Może nigdy nie istniał? Może go sobie wymyśliłam? Tak jak babcia wymyśliła mojego Anioła Stróża? Gdyby istniał, zadzwoniłby do mnie, napisał list, smsa, emaila, cokolwiek. Przyjechał w odwiedziny. Ale on nie podejmował żadnych prób, żeby się ze mną skontaktować. Ja też nigdy nie odważyłam się zrobić pierwszego kroku. Bałam się, że mi nie

odpisze, odrzuci połączenie, albo mnie wyśmiej i wtedy będzie mnie to boleć podwójnie. A poza tym, co miałabym mu napisać po tylu latach? *Hej tato, co tam słyhać?* Żalodne.

Matka ciągle mi przypominała, jakim beznadziejnym człowiekiem był, jak nas zranił i porzucił. Ani na chwilę nie pozwalała mi o nim zapomnieć. Nie było dnia, żebym nie słuchała wyzwisk i opowieści o tym, jak nas potraktował.

Moje serce wpadło w nierówny rytm. Na samą myśl o powrocie do domu zrobiło mi się słabo i poczułam mdłości.

Wolałabym mieszkać w domu dziecka, albo w przytułku dla bezdomnych, niż z moją matką. Poza nią i kilkoma znajomymi, nie miałam nikogo bliskiego. Dziadkowie od strony ojca już zmarli, a moja matka wychowywała się w domu dziecka i nie знаła swoich rodziców. Mój ojciec jest jedynakiem, więc moja beznadziejna rodzina była dwuosobowa – tworzyłam ją ja i moja matka.

Moja matka kurwa i alkoholiczka.

- Alex, śpisz?

Aż podskoczyłam, bo z rozmyślań wyrwał mnie cichy głos. Odwróciłam się i spojrzałam w oczy drobnej blondyneczce - Elizabeth, którą pieśczośliwie nazywałam Ellie. Dziewczynie, która znacznie różniła się od większości moich znajomych i przy tym była też moim całkowitym przeciwieństwem. A jednak, co do tej pory było dla mnie zaskakujące, przyjaźniłyśmy się od kilku lat. Była jedyną osobą z którą mogłam porozmawiać o wszystkim, nawet o heavy metalu.

- Która godzina? – wyszeptałam, pocierając obolałą skroń.

- Dochodzi dwudziesta trzecia, zaraz będziemy na miejscu.

Zaczęłam naciągać ramoneskę i zarzuciłam szalik na szyję. Elizabeth nakładała na siebie beżowe futerko i uśmiechała się do mnie.

Była śliczna, jak laleczka. Niska, drobniutka, z błękitnymi oczami. Zwariowana, rezolutna, zabawna i pełna życia. Całkowicie odwrotnie niż ja. Może dlatego tak dobrze się dogadywałyśmy? Szukałam w niej cech, które zawsze chciałam w sobie mieć. Chciałam się wiecznie uśmiechać, czasem cieszyć z byle powodu, być głupkowata i *normalna*. Jak każda nastolatka. A kim ja byłam? Mało atrakcyjną siedemnastolatką, ponuraczką i pesymistką. Ciągły, niekończący się smutek, który wypełniał mnie na wskroś sprawiał, że nie czułam się dobrze sama ze sobą. Wyniszczał mnie od środka. Często bolało mnie serce, a czasami ból był tak intensywny, że nie mogłam oddychać. Miałam zawroty głowy i mroczki przed oczami, drżenia mięśni i dreszcze, nawet w upalne dni. Nienawidziłam siebie, mojej matki, ojca, domu, a w końcu życia. Słabo odwzajemniłam jej uśmiech.

- Nie smuć się... - szepnęła.

Zawsze bezbłędnie wyczuwała mój nastrój. Moje spojrzenie wystarczyło, żeby odgadła, że nie mam najmniejszej ochoty wracać do domu.

Jednak Ellie nie wiedziała wszystkiego. Powiedziałam jej co prawda o problemach mojej matki z alkoholem, jednak temat kurestwa nie był w stanie przejść mi przez gardło.

Tak się składało, że moja matka była akurat w alkoholowym transie. Obawiałam się tego, co zastanę w domu po powrocie.

Jednym z najgorszych wspomnień było dla mnie patrzenie jak leży na kanapie z jakimś obleśnym dziadem i śpią pijani, po ostro zakrapianej imprezie. Moja matka miała rozwichrzoną koszulę i podarte rajstopy, nie miała na sobie spódnicy. Wraciałam wtedy z urodzin Elizabeth, nie chciałam nawet myśleć o tym, co mogła z nim robić wcześniej...

Innym razem naszłam moją matkę na gorszych dwuznaczościach, kiedy to klęczała przed rozporkiem jakiegoś bezzębego brodacza. Ten facet obrzydliwie uśmiechnął się na mój widok, eksponując brak dwóch przednich jedynek, a potem wrócił do głośnego sapania. Matka była tak pijana, że nawet mnie nie spostrzegła. I ani na chwilę nie przerwała tego, co mu robiła. A ja uciekłam do pokoju z dziko bijącym sercem i narzygałam do kosza na śmieci.

Autokar zatrzymał się. Rzuciłam szybkie spojrzenie na komórkę - była 22:45. Miałam cichą nadzieję, że o tej godzinie złapię jakiś autobus do domu.

Chłodne powietrze uderzyło mnie w twarz. Pierwsze, co spostrzegłam, to pokaźna grupa ludzi stojących przy autokarze. Zrozumiałam od razu, że to rodzice wyczekujący na przyjazd swoich pociech. Światła reflektorów jednego z samochodów oślepiły mnie tak, że musiałam zmrużyć oczy.

Po mnie nikt nie przyjechał.

Zabrałam swoją torbę od kierowcy i znalazłam w tłumie Ellie. Rozglądała się, wiedziałam, że mnie szuka. Na pewno by mi zaproponowała, że odwiezie mnie do domu, jednak ja nie chciałam nadużywać jej uprzejmości, ani tłumaczyć się jej mamie dlaczego

nikt nie raczył po mnie wyjechać. Mama Elizabeth była przecudowną kobietą, dlatego nie zniosłabym tego, że muszę ją okłamać.

Zatem, jak zawsze zresztą, wolałam uciec.

Schowałam się za autokarem tak, żeby mnie nie dostrzegła. Ellie tymczasem wyjęła telefon i wystukała numer, a sekundę później poczułam wibrującą komórkę w mojej kieszeni.

- Alex, ktoś przyjedzie po ciebie? – wyrosła przede mną niespodziewanie moja wychowawczyni. Była to młoda, trzydziestoletnia blondynka, pani magister historii i psychologii.

Dobrze, że było ciemno, inaczej ujrzałyby bordowy rumieniec zakłopotania na mojej twarzy.

- Oczywiście, pani profesor, mój kuzyn zaraz tutaj będzie.

Wiedziała, że nie mam ojca. I że matka nie pojawia się na żadnym zebraniu, więc najrozsądniej było wymyśleć jakiegoś kuzyna. Spojrzała na mnie dziwnie, ale mimo to wsiadła do swojego samochodu i odjechała minutę później. Auto prowadził przystojny mężczyzna mogący być w jej wieku, albo starszy. Zapewne jej mąż.

Schowałam się za starym kioskiem i czekałam aż wszyscy porozjeżdżają się do domów. Rzuciłam spojrzenie na rozkład jazdy i to wcale nie poprawiło mi nastroju. Jedyne autobus, jaki mi jeszcze pozostał, nie dość, że miał być dopiero za 25 minut, to jeszcze nie dojeżdżał do mojego przystanku. Czekala mnie więc długa droga przez miasto.

Usiadłam na ławce i wpatrzyłam się tępo przed siebie. Mroźne, nocne powietrze raniło moją skórę.

Zazdrościłam mojej wychowawczyni. Że ma do kogo wracać, że ktoś na nią czeka, że komuś na niej zależy. Że ktoś ją kocha...

W moim beznadziejnie dennym życiu byłam zakochana tylko jeden jedyny raz. Chociaż... Nie mogłam o tym powiedzieć w czasie przeszłym, bo przecież chyba cały czas go kochałam...

Zamknęłam oczy. Od roku byłam zakochana w moim starszym koledze z zespołu. I chciałabym, żeby to właśnie on był tym, który na mnie czeka, tęskni... I myśli o mnie...

Michael. 21 letni perkusista deathmetalowego bandu, w którym miałam przyjemność grać całe cztery miesiące na gitarze elektrycznej. Niestety zespół istniał tylko przez taki okres czasu i na planach oraz zapale się skończyło, ku mojej wielkiej rozpaczy. Przyznam się bez bicia – bardziej zależało mi na spędzaniu czasu z Michaelem niż grze, ale kiedy zespół się rozpadł, w ogóle straciłam możliwość, żeby się z nim widywać. I nasz kontakt się urwał...

Och, Michael... Uwielbiałam w nim wiele rzeczy, przymykałam oko na jego wady, które znałam na wylot, bo kochałam go tak beznadziejnie, jak nic na świecie. On był jedyną żyjącą istotą, zaraz po moim ojcu i babci, którą darzyłam tak silnym uczuciem. Ale mój ojciec był nierealny, niedostępny, jakby wyimaginowany, więc całe pokłady miłości, jakie kiedykolwiek w sobie miałam, przelałam na Michaela... Gdyby tylko wiedział co do niego czuję...

Michaela poznałam rok temu, kiedy to przeprowadził się dwie ulice dalej ode mnie. Był długowłosym blondynem o piwnych oczach, wysokim, dobrze zbudowanym. Co z tego, że graliśmy razem w zespole, chodziliśmy paczką na koncerty, skoro nie

zbliżyło nas to do siebie na tyle, że mógłby poczuć chociaż ułamek tego, co ja czuję. Prawda jak zwykle okazała się brutalna – nie byłam absolutnie w jego typie, dlatego nie był mną zainteresowany. Dziwne, prawda? Metal i metalowa, przecież to idealne połączenie, jak upierała się kiedyś Ellie. Może tak, ale nie w naszym przypadku. Michael gustował w innych dziewczynach – seksownych, metalowych babkach, wyjętych prosto z imprez Lemmy’ego Kilmistera. No cóż. Ja wyglądałam przy nich co najwyżej jak dziwoląg.

Moja samoocena była praktycznie zerowa. W dzieciństwie byłam dość pulchnym dzieckiem, które nabawiło się kompleksów przez własną matkę. *„Zobacz jak wyglądasz ty mały wieprzu”* usłyszałam, gdy miałam dziewięć lat. A kiedy nie zmieściłam się w sukienkę, matka wyzwała mnie od obleśnego pulpeta, który tylko przynosi jej wstyd. I zrobiła to przy swoich koleżankach, które dławily się ze śmiechu. Do dzisiaj pamiętam ich kpiący śmiech. Dzwoni mi w uszach ilekroć spojrzę w lustro.

„Spójrz jak wygląda córka Stephanie w tej sukience, a ty? Ledwo się w nią zmieściłaś”, „Przestań tyle zreć, bo znowu przytyjesz”, „Musieli cię podmienić w szpitalu, ja nie byłam taka gruba w dzieciństwie.”

Zawsze byłam gorsza, grubsza, brzydsza. To w głównej mierze ona odpowiadała za to, jakie miałam mniemanie o sobie.

Tylko tata mnie bronił. Mówił, że jestem śliczna. I że bardzo ładnie maluję, tańczę, śpiewam. I że jest ze mnie dumny.

I że mnie kocha.

Westchnęłam boleśnie. Wstałam i przyjrzałam się swojemu odbiciu w brudnej szybie. Od tamtego czasu trochę się zmieniłam. Wyrosłam na wysoką, dość szczupłą dziewczynę. Przy wzroście 175cm ważyłam 52kg. Niestety byłam podobna do matki – miałam długie, ciemne włosy i zielone oczy, których kolor na szczęście odziedziczyłam po tacie. Patrząc w lustro, czułam się tak jakbym znowu patrzyła w jego oczy... A jednak widziałam tylko odbicie swojej bladej, przygnębionej twarzy z podkrążonymi oczami, a pragnęłam zobaczyć twarz ojca... Tęsknota przyćmiewana była przez żal i dziwny smutek, więc unikałam patrzenia w lustro.

Teraz też odwróciłam wzrok.

Nie lubiłam siebie. Zawsze sprawiałam wrażenie chorej - byłam blada, a w zestawieniu z ciemnymi ciuchami, bo tylko w takich chodziłam, wyglądałam naprawdę mrocznie i przygnębiająco. Pewnie niejedna osoba, patrząc na mnie, myślała sobie, że muszę sprawiać problemy wychowawcze. A tak naprawdę byłam wycofana i spokojna, tylko ubierałam się na czarno. I uwielbiałam słuchać starego rocka i metalu, dla mnie nie istniała inna muzyka. To w niej odnalazłam kiedyś, będąc zagubioną dwunastolatką, część siebie. I odnajdywałam do tej pory. Ta muzyka dawała mi wszystko. I rozumiała mnie. Brutalne i agresywne dźwięki, lub odwrotnie, przygnębiające tony, wyrażały za mnie całą złość i bunt, a jednocześnie ten przeraźliwie potworny smutek...

Może dlatego nie miałam znajomych w klasie. Większość uważała mnie za dziwoląga. Nie dość, że słuchałam „*odgłosów przypominających starą, wirującą pralkę w której urwał się*

bęben”, to na dodatek byłam nudnym odludkiem i ponurakiem. Nie miałam ochoty rozmawiać o przyziemnych sprawach, jak butiki, kino, Facebook, Instagram. Wyróżniałam się, zapewne negatywnie, na tle jednakowo słodkich i ufarbowanych dziewcząt, poubieranych w jaskrawe kolory, tryskających energią i emanujących seksapilem. Nie manifestowałam jakoś dobitnie swoich upodobań muzycznych, nie nosiłam koszulek z zespołami do szkoły, a jednak, po tym jak odmówiłam pójścia z nimi kilka razy do klubu, przestałam być lubiana.

Byłam tą dziwną, dziwadłem. Metalową. Brzydulą.

Nigdy nie wierzyłam w siebie, nigdy nie czułam się atrakcyjna. Jak miałam czuć się piękna, kiedy dla własnej matki zawsze byłam obleśnym pulpetem, a dla Michaela, za którym tęskniłam całymimi dniami, byłam nikim istotnym...? Koleżanką z koncertów, brzydką kumpelą z kapeli, ciekawe czy chociaż pamiętał jak mam na imię, w końcu przez te cztery miesiące, kiedy graliśmy razem, mieliśmy może z pięć prób. A on na każdej pojawiał się z inną dziewczyną. Serce pękało mi za każdym razem, próbując udawać dobrą koleżankę, tymczasem w środku czułam się jak brzydula niegodna uwagi.

Elizabeth ciągle wciskała mi kit, że jestem piękna, ale w końcu była moją przyjaciółką, co innego mogła mówić? Nie umiałam spojrzeć na siebie i widzieć kogoś istotnego. Bo kiedy patrzyłam na faceta, którego kochałam, i widziałam, że prowadzi kolejną blondynkę pod ramię, czułam się brzydka i bezwartościowa, a przede wszystkim gorsza, tak gorsza, bo to nie na mnie zwrócił uwagę.

Ale z drugiej strony, nie zamierzałam mu powiedzieć, że go kocham. Jestem pewna, że by mnie wyśmiał i całkowicie zerwał ze mną kontakt. A ja nie chciałam go tracić. Nawet jeśli wiedziałam, że on nigdy nie będzie mój. Karmiłam się krótkimi spotkaniami i patrzeniem na niego. Moja miłość była bezsensowna. Może dlatego, że pierwsza? Chociaż innym udawały się te pierwsze miłości, mieli co wspominać... Pierwsza odwzajemniona miłość, wspólne mieszkanie, ślub, dzieci, pies, kot. Love story.

Parsknęłam na głos i uświadomiłam sobie, że z boku mogło to wyglądać naprawdę komicznie. Całe szczęście w zasięgu wzroku nie było nikogo oprócz mnie.

Westchnęłam. Może dlatego stałam się taka oschła i opryskliwa... Moje uczucie nie było odwzajemnione i uważałam, że to strasznie niesprawiedliwe. Szkoda, że Michael nigdy nie dostrzegł we mnie osoby, z którą mógłby być. Chociaż na kilka chwil. Miałam takie momenty, że byłam gotowa zgodzić się na to, żeby być z nim nawet przez krótką chwilę, zgodziłabym się na koleżeński seks, żeby mieć co wspominać, żeby móc głośno powiedzieć do samej siebie: *Pamiętam, jak byłam z Michaelem... Tak, straciłam dziewictwo z kimś dla mnie ważnym.*

Walnęłam się z impetem w czoło. Byłam tak potwornie żalonna! Albo po prostu głupia i zdesperowana. Jak dobrze, że nigdy nie zwierzyłam się Elizabeth z moich rozterek dotyczących przyjacielskiego seksu z Michaelem. Na bank by mnie wyśmiała i straciłabym w jej oczach jakikolwiek szacunek. Jak mogłam chcieć się tak upodlić! Ale cóż, byłam beznadziejnie zakochana.

Moje policzki były bordowe ze wstydu. Wyrwałam się z rozmyślań. Właśnie podjechał autobus, o kilka minut wcześniej, niż to było podane na rozkładzie.

Ku mojej uldze, okazał się pusty. Wolałam siedzieć sama, w zupełnej ciemności, niż denerwować się, że w głębi autobusu siedzi jakiś pijak lub ktoś szukający zaczepki. Na wszelki wypadek nosiłam przy sobie gaz pieprzowy. Często wracałam późnymi wieczorami z koncertów, albo od Elizabeth, ponieważ chciałam jak najmniej czasu spędzać w domu. Całe szczęście nie było jeszcze sytuacji, żebym musiała go użyć, jednak wolałam być zabezpieczona. Nie bałam się psycholi... Chyba najbardziej bałam się pijaków. Bo kiedy ludzie są pijani, robią różne straszne rzeczy. Upadlają się i tracą kontrolę.

Jak moja matka.

SPIS TREŠCI

PROLOG.....	5
1.....	6
2.....	19
3.....	31
4.....	53
5.....	64
6.....	78
7.....	99
8.....	102
9.....	123
10.....	130
11.....	145
12.....	151
13.....	172
14.....	182
15.....	200
16.....	211
17.....	218
18.....	225
19.....	236
20.....	248
21.....	266
22.....	276
23.....	308
24.....	314
25.....	325
26.....	329
27.....	339
28.....	348
29.....	356
30.....	370
31.....	385
32.....	396
33.....	401
34.....	415
35.....	427
36.....	432
EPILOG.....	443

- PODZIĘKOWANIA -

Pragnę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania
mojej debiutanckiej powieści.

Jestem ogromnie wdzięczna za każde słowa wsparcia i otuchy.

Dziękuję moim pierwszym beta-czytelniczkom,
mojej rodzinie, która znosiła moje humory,
a zwłaszcza Mamie, która na bieżąco czytała wszystkie wersje
powieści.

Dziękuję także Tobie, Czytelniku! Mam nadzieję, że miło spędziłeś
czas w trakcie lektury „Dziewiętnaście”. Będę szczęśliwa, jeśli
polecisz moją książkę swoim bliskim i znajomym.

Jeżeli masz ochotę się ze mną skontaktować, zapraszam Cię na
moją autorską stronę na Facebooku:
fb.com/klaudialeszczynskaautorka

Dziękuję za wszystko!

Kludia Leszczyńska